

“Próba”

Ból. Był tak ogromny, że chciał krzyknąć, lecz z jego piersi nie dobył się żaden dźwięk. Trzymał jego ciało w uścisku, niczym setki wijących się macek zaciskających się na nim coraz bardziej. „NALEŻYSZ DO MNIE” – słowa rezonowały w jego umyśle powodując jeszcze większe cierpienie. Pragnął już jedynie, aby to wszystko się skończyło. Nawet jeżeli miało to oznaczać śmierć! Byle tylko nie czuć wszechogarniającego go bólu...!

Nagle – zupełnie niespodziewanie uczucie zniknęło. Zupełnie, jakby nigdy nie istniało. Nareszcie był uwolniony od wołających go głosów! Naraz zaczęło kręcić mu się w głowie, jego zielone oczy zaczęły zachodzić mgłą, a powieki robić się coraz cięższe. Zdażył jeszcze zobaczyć stojącą przy nim przygarbioną postać, odzianą w stary poszarpany płaszcz. Na jej czole znajdowała się para zakrzywionych rogów, w jej dłoni zaś jarzył się rozpraszający mrok płomienia. Nie można było jednak dostrzec śladu żadnej pochodni... Nieznajomy pochylił się nad leżącym i rozgrzanymi palcami dotknął jego czoła. Zaraz potem wkoło zapanowała ciemność.

Spał przez następne 7 dni, choć sam nie zdawał sobie z tego sprawy. Przez ten czas o niczym nie myślał, nie czuł głodu ani, co najważniejsze - bólu. Parę razy ocknął się na parę chwil. Wówczas, jak przez mgłę, docierały do niego bodźce z miejsca, w którym się znajdował. Czuł twardy materac, na którym był ułożony, i silnie pachnący, wełniany koc, którym był okryty. Wydawało mu się też, że dostrzega sylwetkę krzątającej się wokół niego postaci... Chwile te trwały jednak bardzo krótko - po chwili znów zapadał w sen.

Przebudził się dopiero siedem dni później. Wszystko przez promień słońca, oświetlający jego młodzieńczą twarz. Przez dłuższy czas, chłopak starał się go ignorować i po prostu spać dalej. Przewrócił się z jękiem na drugi bok i jeszcze mocniej otulił się kocem. Niestety światło dnia dawało o sobie znać również tam.

- Że też to cholerne słońce musi świecić akurat tutaj! - pomyślał. Wtem coś przyszło mu do głowy. Natychmiast otworzył oczy i usiadł na łóżku. - tutaj, czyli właściwie, gdzie?

Do tej pory nie zadawał sobie pytania, gdzie się tak naprawdę znajduje ani tym bardziej, jak tu trafił. Tak właściwie... to w ogóle niewiele pamiętał. Nie tylko jak się tu znalazł, zdał sobie sprawę, że nie zna nawet własnego imienia. Przez dłuższą chwilę starał się przypomnieć sobie jakieś wydarzenie z jego przeszłości, cokolwiek, co pozwoliłoby mu dowiedzieć się, kim jest. Jego głowę wypełniała jednak całkowita pustka. Ostatnie, co pamiętał, to ten okropny ból...

Nie! Nigdy więcej nie będzie do tego wracać. Spojrzał na swoje dłonie. Był człowiekiem - to musiało mu na razie wystarczyć. Należało się skupić na tym, co dzieje się teraz. Młodzieniec odgarnął swe długie rude włosy spod czoła, by móc lepiej przyjrzeć się pomieszczeniu, w którym się znalazł.

Była to niewielka, skromnie wyposażona izba, oprócz łóżka, na którym leżał znajdowała się w nim staroświecka szafa na ubrania, oraz kilka walających się skrzyń i krzesel. Poczucie klaustrofobii zwiększał spadzisty sufit, w którym znajdowały się niewielkie okienka. To właśnie przez nie wydobywało się światło.

-Muszę znajdować się na czyimś poddaszu – pomyślał chłopak.

Nie dolatywały go jednak żadne dźwięki. Albo jego gospodarza nie było obecnie w domu, albo naprawdę dobrze się ukrywał. Cóż, nie było innego sposobu niż wstać i przekonać się samemu.

Wstał z pościeli i zaczął przechadzać się po pokoiku raz po raz, szukając przy tym drzwi, klapy w podłodze lub jakiegokolwiek innej drogi wyjścia. Wszystkie te działania nie przyniosły jednak oczekiwanego skutku. Pokój był zupełnie pozbawiony wszelkich przejść. Ale musiał przecież istnieć jakiś sposób na opuszczenie tego miejsca! Jeszcze przed chwilą izba wydawała się przytulną sypialnią – teraz zaczęła przypominać raczej więzienie. Jedynym pomysłem, jaki mu pozostał było wybicie okien: wydawało się, że są na tyle duże, że można by się przez nie przecisnąć. Mogło to jednak spowodować niezadowolenie gospodarza, którego tożsamość jak na razie pozostawała tajemnicą. Może najlepszym pomysłem będzie jednak powrót do łóżka?

Nagle do jego uszu doszedł jakiś dźwięk. Odgłos zbliżających się kroków. Co więcej wydawało się, że dobiega zza jednej ze ścian! Chłopak błyskawicznie rzucił się z powrotem na materac, starając się przy tym zrobić jak najmniej hałasu. Narzucił na siebie koc i położywszy się w miarę naturalnej pozycji począł obserwować dalszy rozwój wypadków, spod przymkniętych powiek. Tymczasem kroki zdążyły przycichnąć. Przez chwilę znów panowała cisza. Mogłoby się wydawać, że nic już się nie wydarzy. A jednak młodzieniec miał pewność, że ktoś lub coś, znajduje się za ścianą. Nie mylił się. Po chwili rozległo się delikatne pukanie. Gdy nie przyniosło ono żadnego rezultatu, dobył się przytłumiony trzask (podobny dźwięk wydaje palenisko, gdy dosypie się doń świeżego drwa), a zaraz potem w izbie pojawiła się chmura dymu, a wraz z nią charakterystyczna woń siarki. Zniknęła ona równie szybko, a w jej miejscu pojawiła się czyjaś sylwetka.

-Och, nareszcie się pan obudził - odezwał się czyiś głos. Niewątpliwie należał do kobiety, lecz pobrzmiwała w nim jakaś sykliwa nuta, sprawiająca wrażenie jakby nieznajoma nie była człowiekiem. - Ojciec będzie z tego bardzo rad. Może zechcesz skosztować rosółu, panie?

Rozumiejąc, że dalsze udawanie nic już nie da, chłopak usiadł na pościeli i otworzył oczy. Przy materacu stała długowłosa dziewczyna, mniej więcej w jego wieku. Miała na sobie proste robocze ubranie, gdzieś tam pobrudzone sadzą. Uśmiechała się od ucha do ucha, jedną ręką trzymając ceramiczną miskę. To, co najbardziej zwróciło jego uwagę, był różowawy - przechodzący w czerwień kolor skóry oraz dwa niewielkie rogi wystające spod jej czarnych włosów. Większość ludzi zapewne przeraziłaby się na ten widok, jednak młodzianowi nie wydawało się, aby nieznajoma miała złe zamiary - szczególnie, że w rękach miała owe naczynie, z którego zaczął się już wydobywać aromatyczny zapach rosółu.

- To ty opiekowałaś się mną, gdy spałem? - spytał
- Mhm. Przyznaję, że było to dość trudne, szczególnie przez pierwsze parę dni, ale na pewno dużo ciekawsze niż pasanie strusio-smoków. Tak w ogóle to jestem Nixea, ale możesz mnie nazywać Nix. To podać panu tę zupę?
- Jasne, poproszę. I nie musisz zwracać się do mnie "panie", wystarczy po prostu... - tu urwał, po raz kolejny bowiem zdał sobie sprawę, że nie wie przecież jak ma na imię. Kim jest. Jak się tu znalazł. Musi się tego dowiedzieć, a teraz nadarzyła się ku temu dobra okazja.
- ...nieważne. Czy wolno mi zapytać co to za miejsce? Nie potrafię sobie przypomnieć, jak się tu dostałem.
- To proste: znajdujemy się niedaleko **Bryndonn**, na południe od miasta Deepmare, choć zgaduję, że niewiele ci to mówi. Ale nie martw się, w **Wielodomu** jesteś już całkowicie bezpieczny.
- **Wielo... co?**
- **Wielodomu**. Został stworzony przez mojego Ojca. A wszystko, co stwarza jest zupełnie niesamowite...
- Ale dlaczego nie ma w nim drzwi? I jak się tu dostałaś? No i kim jest twój...
- Ach! - przerwała mu Nixea – zapomniałam, że ludzie są tacy niecierpliwi! Nawet dziecko wie, że rosół należy jeść, gdy jest gorący, bo wtedy najbardziej syci. Zaprowadzę cię do ojca, jak skończysz, on odpowie na twoje pytania - rzekła, stawiając parujące naczynie na stojącej przy materacu skrzynce. - teraz muszę wykonać jeszcze parę obowiązków. Zajrzę do ciebie za jakiś czas.

Po tych słowach obróciła się na pięcie i zrobiła parę kroków w stronę jednej ze ścian.

-Acha, jeszcze jedno. Nie zaplam przypadkiem pościeli, dopiero co ją prałam. Chociaż sądząc po zapachu, i tak będzie to konieczne...

Po tych słowach ponownie rozległ się ten sam trzask, a następnie dziewczyna zniknęła w chmurze dymu, pozostawiając młodzieńca sam na sam z sobą, wątpliwościami i miską aromatycznie pachnącego rosółu.

Nie mając wyjścia, chłopak sięgnął po naczynie. Było ono bardzo gorące, lecz z jakiegoś powodu wcale go nie parzyło. Za pomocą metalowej łyżki nabrał nieco naparu, po czym go skosztował. Natychmiast poczuł delikatny słodki smak oraz falę ciepła rozgrzewającą jego ciało od środka. Po chwili delektowania się smakiem, sięgnął po następną porcję, oczywiście starannie uważając by wokół siebie nie nabrudzić. Parę minut później, na skrzynce stała już tylko pusta miska. Chłopak zaczął się już nawet zastanawiać, jak ma dać znać Nixea'yi o tym, że już skończył i czy w ogóle dziewczyna zamierza do niego wrócić. Okazało się jednak, że niepotrzebnie się nad tym zastanawiał - po chwili usłyszał stłumiony odgłos pośpiesznych kroków i niedługo potem, wraz z chmurą pyłu, w pokoju znów pojawiła się jego była opiekunka.

- Przepraszam za lekkie opóźnienie - powiedziała lekko zdyszana. Jej wzrok ześlizgnął się na pustą miskę, co sprawiło, że uśmiechnęła się jeszcze szerzej – mam nadzieję, że przynajmniej jedzenie smakowało?

-Jasne, było pyszne... Nie pamiętam, abym kiedykolwiek jadł coś lepszego.

-To wspaniale - odrzekła, lekko się rumieniąc - wiedziałam, że dodanie krwawego ziela będzie dobrym pomysłem. To trująca roślina, ale chyba nie działa na ludzi. Nieważne. Włóż tylko sandały i zaprowadzę cię do ojca.

- Sandały? - ku swojemu zdziwieniu młodzieniec spostrzegł, parę skórzanych butów równiutko stojących przy materacu. Dałby sobie rękę uciąć, że wcześniej ich tu nie było. Widząc jego skonsternowanie Nixea zachichotała i powiedziała

- No już, nie bój się, to nie żadna pułapka. Za chwilę zobaczysz więcej dziwnych rzeczy, więc jeżeli para kapci stanowi dla ciebie problem, to równie dobrze możesz pozostać w łóżku.

„Może to nie jest taki zły pomysł” - mruknął chłopak pod nosem, jednak posłusznie zapiął sandały, które dziwnym trafem okazały się być idealnie w jego rozmiarze.

- I co teraz? - spytał będąc już gotowy do drogi
- Złap mnie za rękę - poprosiła Nixea – od razu uprzedzam, że za pierwszym razem możesz poczuć się troszeczkę nieswojo, ale obiecuję, że nic ci się nie stanie, jeśli tylko mnie nie puścisz. To co, jesteś gotowy?

Chłopak skinął głową. I tak nie miał zbyt wielkiego wyboru. Delikatnie chwycił wyciągniętą dłoń dziewczyny i odruchowo zamknął oczy. Po chwili ogarnął go duszący zapach dymu i siarki. Zaczęło mu się kręcić w głowie. Nagle poczuł się jakby coś gwałtownie porwało go z ziemi. Jego ciało zaczęło z ogromną prędkością mknąć przez przestrzeń, obracając się przy tym, niczym korkociąg. Na dodatek prędkość jego ruchu błyskawicznie się zwiększała, powodując coraz większe zawroty głowy... Wtem usłyszał donośny trzask i otworzył oczy. Dziwne uczucie całkowicie go opuściło, a on sam stał razem z Nix w jakimś ciemnym korytarzu. Chłopak dotknął lewej skroni. To co przed chwilą przeżył wydało mu się teraz ledwie krótką chwilą, wręcz mgnieniem oka. Czy to wszystko tylko mu się wydawało? Ale przecież jeszcze przed chwilą uczucie było takie realne...

- Ekhm. Już po wszystkim. - jego rozmyślania przerwał rozbawiony głos jego towarzyszki - Możesz mnie już puścić.

Dopiero teraz przebudzony uświadomił sobie, że wciąż z całych sił zaciska palce na jej dłoni. Nieco speszony, natychmiast ją puścił i wbił wzrok w ziemię.

- I co, nie było tak źle prawda?
- Prawdę mówiąc, chyba wolałem sztuczkę z kapciami.

Dziewczyna zachichotała:

- Zapomniałam, że ludzie są tacy zabawni!

Ruszyli przez ciemny, ponury korytarz. Mimo, iż brakowało w nim jakichkolwiek źródeł światła, to młodzieniec i tak wyraźnie dostrzegał otaczające go gładkie kamienne ściany i mijane od czasu do czasu, staroświeckie posągi i płaskorzeźby. Nie

miał niestety czasu, by się im dokładnie przyjrzeć, lecz wydało mu się, że mają jakiś związek z historią tego miejsca. Po pewnym czasie dotarli do końca korytarza. Ku niezadowoleniu chłopaka wieńczyła go kolejna pusta ściana.

- Dlaczego w tym... miejscu nie ma po prostu normalnych drzwi? - spytał, nieco już zirytowany.
- Względy bezpieczeństwa. Mój Ojciec...
- ...Wszystko ci wyjaśni. Jasne. - westchnął wyciągając rękę - Po prostu miejmy to już za sobą.

Ponownie ogarnęła go ta sama wizja, znów poczuł jakby jego ciało poruszało się w ogromnym tempie. Słowa jego towarzyszkii okazały się jednak prawdziwe - świadomość tego, że uczucie za chwilę minie, sprawiła, że nie wpadł w panikę jak poprzednio. Po prostu pozwolił ponieść się dziwnej sile, a zanim się spostrzegł, był już po drugiej stronie. Tym razem powitały go nowoczesne, drewniane schody z misternie zdobioną poręczą. Ciągnęły się tak wysoko, że z miejsca, w którym stali, nie dało się dostrzec, dokąd prowadzą

- No, jeszcze trochę i będziemy w połowie. - uśmiechnęła się Nixea – Idziemy?

Chłopak nic na to nie odpowiedział.

Kolejne minuty upłynęły im na przemierzaniu korytarzy **Wielodomu**. Co jakiś czas zatrzymywali się, by w magiczny sposób przedostać się do kolejnego pomieszczenia. Każde z nich było urządzone w innym stylu i zdawało się zupełnie nie pasować do poprzednich. W czasie podróży przechodzili zarówno przez wyłożone czerwonymi dywanami korytarze, jak i wilgotne, piwniczne tunele. W pewnym momencie młodzieńcowi wydało się nawet, że wspinają się po schodach najprawdziwszej wieży zamkowej! W końcu jednak dotarli do celu.

- To już tutaj. - zakomunikowała Nix

Ostatni skok nie przeniósł ich do następnego pomieszczenia, lecz na otwartą przestrzeń. Delikatny wiatr przynosił zapach mokrej trawy i zwierzęcego nawozu, dało się nawet usłyszeć odgłosy przypominające gdakanie. Wkoło zaś rozciągał się widok na okolicę: dzikie, pokryte zieloną trawą zbocza, strzeliste majaczące na horyzoncie góry i poranne, jasnobłękitne niebo. Na wprost znajdowała się zaś stara, chłopska chata. Była zbudowana z wzmocnionych błotem, drewnianych pali, pokryta strzechą, a co najważniejsze: prowadziły do niej niewielkie drzwi. Jeszcze jakiś czas temu chłopak wręcz tęsknił do tego prostego, acz zbawienneo wynalazku, teraz jednak na ich widok ogarnął go niepokój. Zrozumiał, że już za chwilę pozna prawdę o swojej przeszłości, dowie się, kim naprawdę jest. Pragnął tego i bał się jednocześnie. Wszystkie odpowiedzi znajdują się za tymi niewielkimi, brzydkimi drzwiami...

- No, co tak stoisz? - wyrwał go z zamyślenia wesóły dziewczęcy głos - Wejdz do środka. Dotarliśmy tu w prawdzie trochę szybciej niż się spodziewałam, ale możesz tam poczekać, Ojciec za chwilę do ciebie dołączy.
- Zaraz, to ty nie idziesz ze mną? - zdziwił się chłopak

- Mówił coś o tym, że to ma być rozmowa na osobności - wzruszyła ramionami - pójdę chyba nakarmić strusio-smoki. Latem potrafią być naprawdę żarłoczne.
- Ale...
- Och! Po prostu tam wejdź! Zapomniałam, że ludzie są tacy strachliwi!

Dziewczyna pomachała mu na pożegnanie, po czym udała się w stronę, z której dochodziły zwierzęce hałasy. Gdy zniknęła mu z pola widzenia, rudzielec podszedł do wejścia. Z bliska chata wydawała się jeszcze bardziej stara. Szpary między belkami pokrył mech, a pod dachem zaległy się jaskółki. "Teraz albo nigdy" pomyślał chłopak, po czym ostrożnie, tak, aby przypadkiem ich nie wyłamać, otworzył drzwi.

Ku jego, któremuś już tego dnia, zaskoczeniu prowadziły one do eleganckiej, zadbanej izby. Panował w niej półmrok - jedynym źródłem światła były nikielne promienie świetlne, które przedostawały się przez nieszczelny dach. Pochylając się lekko, by zmieścić się w ciasnym przejściu, wszedł do środka i rozejrzał się. Pomieszczenie nie było duże, lecz pełne różnych przedmiotów: na jego środku znajdował się niewielki, zabrudzony stolik, zaraz przy nim stał ciemnozielony, pluszowy fotel. Na ścianach roilo się od oprawionych w ramy obrazów i map a półki i szafki wypełnione były książkami, których było z resztą tak dużo, że część z nich leżała rozrzucona w nieładzie na podłodze. Było też, pełniące rolę dywanu, futro jakiegoś zwierzęcia, sprawiające, że pokój wydawał się jeszcze bardziej przytulny.

Chłopak po raz kolejny złapał się na tym, że doskonale widzi otaczające go elementy otoczenia, mimo panujących ciemności - kolejna sprawa, która wymaga wyjaśnień. Mimo tego, wyglądało na to, że nie było tu żywej duszy. A przynajmniej żadnej nie dostrzegł. Musiało to oznaczać, że Nix po raz kolejny miała rację i jej ojca jeszcze tu nie było.

- Ech, chyba czeka mnie więcej bezczynności - westchnął sam do siebie.

Delikatnie zamknął za sobą drzwi, a następnie począł się zastanawiać, co ze sobą zrobić. Przez chwilę myślał nad przyjrzeniem się którejś z licznych książek, lecz prędko porzucił ten pomysł - nie poznał jeszcze wprawdzie swego gospodarza, lecz coś podpowiadało mu, że nie chciałby nadużyć jego gościnności. Zaczął więc z nudów przechadzać się powoli po izbie, przyglądając się powieszonym na ścianach dziełom sztuki. Przystanął przed eleganckim, oprawionym w złotą ramę lustrem. Po raz pierwszy od przebudzenia mógł w końcu zobaczyć, jak wygląda - młoda, blada, upstrzona piegami twarz, łysa głowa, sterczące uszy i pozbawione koloru oczy.

"Nawet oczy. Nawet one nie odpowiedzą mi, kim jestem" pomyślał z bólem. Miał już dość czekania! Nie zniesie już dłużej bezczynności i tej panującej w koło ciszy! Odwrócił się, szukając wzrokiem czegokolwiek, czym mógłby się zająć. Czegokolwiek, co pozwoliłoby mu zagłuszyć nerwy. Dostrzegł umieszczone przy ścianie kamienne palenisko. Nie zobaczył go wcześniej, gdyż zasłaniał je ów elegancki fotel, który widocznie był ustawiony tak, by w zimne dni, docierało do niego ciepło zapewniane przez palący się ogień. Teraz jednak było ono całkowicie wygaszone i wyglądało na od dawna nieużywane. Okryła je ciemność i cisza – jak wszystko w tej przeklętej izbie.

Nie zastanawiając się długo, chłopak ruszył w jego stronę i usiadłszy na ziemi, spróbował rozpać w nim ogień. Niestety z marnym skutkiem. Znalazł nawet trochę drewna w znajdującym się obok pojemniku, lecz jego dołożenie również nie przyniosło rezultatu. Siedział tak jeszcze przez parę minut, lecz ostatecznie zamiast ukojenia nerwów, poczuł jeszcze większą frustrację. W końcu poczuł, że ma już tego dosyć.

- Niech szlag trafi ten głupi kominek! - krzyknął, z wściekłością, ciskając kawałkiem drewna w popioły. Nie spodziewał się, że ktoś mu odpowie. Tym bardziej przeraził się, gdy dobiegł go starczy, świszczący, lecz zrazem głęboki i pełen mocy głos:
- W tym miejscu jestem zmuszony zaoponować. Może i nie grzeszy inteligencją, lecz jeśli chodzi o grzanie w zimowe wieczory, nie ma sobie równych.

Zaskoczony młodzieniec aż podskoczył i gwałtownie odwrócił się do tyłu. Tuż nad nim stał starszy, lekko przygarbiony mężczyzna. Miał przeoraną bliznami, zgniłozieloną, miejscami wybielałą, rogowatą skórę i stare, jarzące się na czerwono oczy. Było jasne, że przed chłopakiem stoi sam ojciec, o czym świadczyły charakterystyczne dwa długie rogi wyrastające mu spod czoła. Były one dużo większe niż u Nix, jednak wyglądały na jakby ucięte w połowie. Złamane a może... Spiłowane? Ubrany był w prosty, skórzany płaszcz, a w pazurzastej dłoni trzymał drewniany kostur. Mimo dosyć groteskowego wyglądu, roztaczała się wokół niego znajoma aura potęgi i grozy. No właśnie – znajoma. Chłopak odnosił dziwne wrażenie, że widział już wcześniej swego gospodarza. Chciał się go o to zapytać, lecz na razie nie mógł wykrztusić ani słowa. Mężczyzna zaś kontynuował:

- Wybacz wydawało mi się, że w taki piękny słoneczny poranek, jak dziś, rozpalenie kominka nie będzie konieczne. Ale cóż – być może ludzie odczuwają temperaturę inaczej niż my...

Ojciec jakby od niechcienia wysunął palec wskazujący w kierunku popiołów. Naraz w jego dłoni pojawiła się ogniska kula, z której z impetem wyleciał promień żaru. W mgnieniu oka przebył niedużą odległość dzielącą go od paleniska, po czym trafił w sam jego środek. Po chwili rozległ się wyczekiwany trzask trawionego przez ogień drewna. Ogień... Płomień rozświetlający ciemności... Nagle młodzieniec przypomniał sobie, gdzie spotkał swego gospodarza. Tymczasem jego rozmówca rozsiadł się wygodnie w fotelu, oparł swój kostur o ścianę, odchrząknął po czym rzekł:

- Witaj w **Wielodomu**. Sądzę, że poznałeś już moją córkę Nixea'yę, skoro dotarłeś aż tutaj. Sam nie zdradzę ci swojego imienia, lecz możesz mówić mi Miri'on, co znaczy: "Szary Wygnaniec". Zdaję sobie sprawę, że zapewne masz głowę pełną pytań, jak z resztą każdy kto tu pierwszy raz trafia, ale tak zupełnie szczerze - nie mam dzisiaj na nie siły. Na razie odpowiem ci więc tylko na trzy, a co do reszty... zobaczymy potem.
- Dlaczego... – zaczął młodzieniec, ale prędko ugryzł się w język. Miał tylko trzy pytania - nie więcej nie mniej. Co prawda poczuł się nieco oszukany, ale to były jego jedyne szanse, by w końcu dowiedzieć się czegoś o sobie i sytuacji, w której

się znalazł. Nie zamierzał zmarnować żadnej z nich. Wziął głęboki oddech, by uspokoić buzujące w nim emocje, po czym powiedział.

-Tak jest, panie. Powiedz mi więc, proszę, dlaczego mnie uratowałeś – to jedna z niewielu rzeczy, jakie pamiętam. Nie wiem tylko, jaki cel może mieć DEMON w ratowaniu człowieka.

Jego rozmówca sarknął, wypuszczając przy tym z nozdrzy niewielką chmurę dymu. – Mądre pytanie chłopcze. Co prawda przewidywalne do bólu, lecz mądre. Widzisz, wcale nie jestem demonem. Już nie. Jak już ci mówiłem, nie ma sensu przywoływać mego starego imienia, dość ci jednak wiedzieć, iż w poprzednim życiu byłem jednym z władców Otchłani - dzierżyłem w rękach potęgę, o jakiej nie śniło się nigdy żadnemu śmiertelnikowi. Na moje rozkazy stawiały się wszystkie zastępy piekieł i pod moim dowództwem ruszały na kolejną rzeź... Wszystko zmieniło się pewnego dnia, kiedy to miała miejsce jedna z wielu bitew pomiędzy dobrem a złem. Po raz pierwszy dosięgło mnie wówczas ostrze nieprzyjaciela: zostałem raniony w jedno ze skrzydeł. Jak się domyślasz spadłem wówczas na ziemię, a los sprawił, że bitwa toczyła się akurat nad tą krainą. Oczywiście przeżyłem upadek - byłem wtedy zbyt młody i zbyt pyszny, by umrzeć. Musiałem jednak spędzić tu nieco czasu, tak, by rana mogła się zagoić.

W tym miejscu zapadła cisza. Miri'on wpatrywał się nieobecny wzrokiem w jarzący się w palenisku płomień, jakby przypominając sobie stare czasy. Po chwili kontynuował:

Rzecz w tym, że gdy ów czas dobiegł końca, nie byłem już tą samą osobą. Po raz pierwszy w życiu na własne oczy ujrzałem jak na prawdę wygląda życie: ziemia i jej mieszkańcy. Całe to piękno jakie niegdyś poprzysięgłem zniszczyć. Nigdy wcześniej nie zastanawiałem się, przeciwko czemu walczę: liczyła się sama idea buntu przeciwko ustalonemu porządkowi. W końcu, gdy raz opowiesz się po jakiejś stronie, to wszystko inne traci znaczenie – tak i się przynajmniej wtedy wydawało. Tak, pobyt w tych ziemiach odmienił to, co pozostało z mej duszy. Do tego stopnia, że zaprzyjaźniłem się nawet z pewną śmiertelniczką, która jak się później okazało, miała zostać moją żoną. Niestety nie umiałem się długo cieszyć szczęściem, jakie otrzymałem: miałem w swym życiu jeszcze popełnić jeszcze jeden błąd. Ubzdurałem sobie, że jestem w stanie odmienić serca mych braci. Było to jeszcze przed ślubem i narodzinami mej córki, czułem się więc wtedy bardzo samotny. Że też nie umiałem docenić ludzkiej przyjaźni! Wkrótce przyszło mi zapłacić za to cenę: gdy nabrałem wystarczająco dużo sił, by opuścić ziemię, zdeterminowany ruszyłem w drogę. Moi pobratymcy z początku ucieszyli się, gdy mnie ujrzeli – uznali widocznie, że poległem podczas owej potyczki, od której wszystko się zaczęło. Gdy jednak zacząłem opowiadać im o tym, czego doświadczyłem podczas swojej nieobecności, wpadli w szal. To, co im mówiłem musiało brzmieć dla nich niczym najbezzwzględniejsze bluźnierstwo. Im więcej opisywałem piękno świata śmiertelników, tym bardziej bali się i nienawidzili mnie jednocześnie. Gdy skończyłem swą opowieść, wyśmiali mnie, po czym zakuli w łańcuchy, zdarli ze mnie szaty i spiłowali me rogi na znak hańby. Następnie przywiązali do

kamiennego słupa, gdzie zostałem zostawiony na pastwę rozeźlonych mieszkańców piekieł. Nie będę opisywał co dokładnie się ze mną działo - nawet dziś samo myślenie o tych wydarzeniach sprawia mi ból... Przejdę do tego co stało się potem. Nie zostałem bowiem wówczas pozbawiony życia, czego z pewnością się już domyśliłeś. Moi pobratymcy uznali, że śmierć byłaby dla mnie zbyt łaskawym wyrokiem. Po upływie siedmiu dni, pozostali władcy Otchłani rozkazali przerwać me okowy, wyrwali mi skrzydła - tak by na zawsze uniemożliwić mi powrót - po czym wygnali mnie z powrotem na ziemię. Tam odnalazła mnie moja kochana Teneria... Pewnie zastanawiasz się, jak wówczas przeżyłem: zapewniam cię jednak, że dla magii nie ma rzeczy niemożliwych! Po czasie postanowiłem, że odkupię swe winy w inny sposób. Przysięgłem chronić ten świat przed wszelkimi zagrożeniami. Prędko jednak zdałem sobie sprawę, że sam nie zdołam zdziałać zbyt wiele. Zacząłem więc szkolić uczniów. Przez wiele lat wiernie wypełniałem swą przysięgę - w końcu jednak wiek i stare rany zaczęły dawać o sobie znać - stałem się zbyt słaby, by dalej brać udział w bitwach. Niestety wiele śmiertelników pozostało wrogo nastawionych do "potworów" takich jak my. Z resztą trudno im się dziwić. Dlatego też za pomocą magii stworzyłem **Wielodom** zamieszkałem w nim wraz z rodziną. Chciałem odtąd żyć w osamotnieniu, nie mogłem odmówić pomocy chorej, zbłąkanej duszy, szczególnie pogrążonej w tak strasznym cierpieniu. Tak bardzo podobnej do mnie. - Miri'on oderwał w końcu wzrok od kominka i spojrzał chłopakowi prosto w oczy. - Zakładam, że teraz...

Ale jak...? - przerwał mu jego rozemocjonowany gość - To znaczy - poprawił się prędko - jak mnie znalazłeś?

Miri'on sarknął z dezaprobatą. Z jego nozdrzy ponownie wydobył się niewielki obłoczek dymu.

- ... No tak. Poznałem cię, gdy byłeś bardzo... chory. Prawdopodobieństwo, że przeżyjesz nie należało do najwyższych, lecz mimo wszystko postanowiłem cię uratować. Musiałem użyć do tego swej najpotężniejszej magii. Aby ustabilizować twój organizm przekazałem ci część swojej mocy - czemu, jak sądzę, zawdzięczasz swe nowe zdolności...

- Zdolności...?

- Widzenie w ciemnościach na przykład. I udam, że nie usłyszałem tego znaku zapytania. W każdym razie mimo mych starań, nie pokładałem zbyt dużych nadziei na to, że przeżyjesz. Co innego moja droga córka. Ubzdurała sobie, że będzie się tobą opiekować, dopóki nie wyzdrowiejesz. No i widać miała rację. Rad jestem z tego, lecz mam nadzieję, że nie zaniedbała przez to opieki nad naszymi strusio smokami. Wiesz, latem potrafią być bardzo żarłoczne. Niestety wygląda na to, że cała ta operacja na zawsze pozbawiła cię twoich wspomnień.

- „Na zawsze” ?! – chłopakowi aż zakręciło się w głowie. Poczuł, jak opanowuje go dławiące uczucie rozpacz. Nie, to nie mogła być prawda!

- Rozumiem, że może być to dla ciebie szok. Uwierz mi jednak – spotkało cię wielkie szczęście, że żyjesz.

- To niemożliwe! Musi istnieć jakiś sposób! Przecież nie mogę tak po prostu porzucić mojej tożsamości i zacząć żyć “od nowa”!

- Nie każdy dostaje taką szansę. - sarknął Miri'on – Z resztą nie masz żadnego wyboru. Nie ma na ziemi zioła, jagody ani innej substancji mogącej przywrócić ci pamięć. Wiedziałbym o tym. To, co teraz postanowisz, zależy wyłącznie od ciebie.

Zrezygnowany młodzieniec osunął się na kolana. Czyli to naprawdę koniec. Nic już nie da się zrobić. Będzie musiał rozpocząć zupełnie nowe życie; pewnie będzie zmuszony zostać rolnikiem lub pasterzem strusio-smoków. Już do końca swych dni będzie musiał ciężko pracować na swoje wyżywienie i już nigdy nie dowie się kim był przed tym strasznym wypadkiem... Aż jęknął, gdy zwizualizował sobie taki scenariusz. W tamtym czasie nie mógł wyobrazić sobie nic gorszego i za wszelką cenę nie chciał do niego dopuścić. Ale Miri'on rzekł przecież, że nic nie da się już zrobić. A nie miał powodów by nie wierzyć byłemu demonowi. “Nie ma na ziemi zioła, jagody ani innej substancji mogącej przywrócić ci pamięć”. Co więc mu pozostało? Nagle, niczym jaśniejący promień słońca, wpadł mu do głowy pewien pomysł.

Tymczasem Miri'on zaczął już zbierać się do wyjścia.

- No, zadasz w końcu to trzecie pytanie? - zapytał lekko już znudzony – już niedługo południe. To doskonała pora, aby...
- Jest jeszcze magia - powiedział chłopak z nagłym ożywieniem podnosząc głowę: Powiedziałeś, że nauka śmiertelników nic tu nie pomoże. Nie wspomniałeś jednak nic, o wiedzy tajemnej. Sam przecież mówiłeś, że dla magii nie ma rzeczy niemożliwych!
- Hmm - mężczyzna sarknął i w zamyśleniu podrapał się po brodzie: Cóż: nie znam żadnego zaklęcia mającego moc, by ci w bezpieczny sposób pomóc, chłopcze. Prawda jest jednak taka, że nigdy takiego nie szukałem. Mówi się wprawdzie, że możliwości, jakie daje magia, są nieograniczone, sprawdza się to jednak wyłącznie w przypadkach jej najpotężniejszych i najwytrwalszych adeptów. Próba zostania jednym z nich zapewne wiązałaby się z długimi latami nauki, treningu i ciężkiej pracy. Z resztą: ten kto chce zostać uczniem, musi najpierw znaleźć mistrza.
- To prawda. – odrzekł młodzieniec, podnosząc się wreszcie z ziemi. Jego mina była niezwykle poważna. – Dlatego pragnę ci zadać ostatnie pytanie, panie. Czy będziesz mnie uczył?

W pokoju zapadła cisza. Ogień w palenisku trząsał wesoło. Z zewnątrz dobiegały piski małych, niecierpliwych jeszcze jaskółek. Chłopak pojął, że Miri'on patrzy prosto na niego, swymi starymi, lecz wciąż gorejącymi oczami. Było w nich coś niepokojącego; groźnego, może nawet szalonego. Młodzianowi wydało się nawet, że za chwilę gospodarz rzuci się na niego by w mgnieniu oka zakończyć jego krótki żywot. Nie drgnęła mu jednak nawet powieka i zawzięcie znosił świdrujące spojrzenie byłego

demoną, odwdzięczając mu się przy tym, tym samym. Nagle Miri'on zamrugał po czym parsknął donośnie - tym razem zabrzmiało to jednak jak śmiech;

- Zawsze powtarzam, że umiejętność zadawania celnych pytań cechuje dobrego ucznia.
- T-to znaczy, że się zgadzasz, panie?! - niemal wykrzyknął chłopak z nadzieją
- Ech... Od dawna miałem przeczucie, że los nie pozwoli, bym spędził moje stare lata wyłącznie na odpoczynku, a już szczególnie gdy ujrzałem ciebie. Zaczynamy jutro o wschodzie słońca. Wtedy zobaczymy, ile jesteś wart. Zanim to nastąpi, potrzebujesz jednak tymczasowego imienia. Nie mogę przecież ciągle wołać do ciebie "chłopcze". Od tej pory będziesz więc znany jako Jou'sha.
- Tak jest mistrzu! Na pewno cię nie zastawię czoła każdemu wyzwaniu, aby dowiedzieć się kim byłem. - odrzekł Jou'sha - przysięgam.

Starzec pokiwał głową:

- Tak, w rzeczy samej. Jeżeli twoja wola jest tak silna jak mówisz, być może uda ci się odkryć kim jesteś - rzekł, chwytając swój kostur. - A teraz wybacznij uczniu, mam jeszcze do załatwienia kilka ważnych spraw. Acha, i jeszcze jedno: radzę ci się wyspać przed jutrzejszym dniem.
- Przecież jest dopiero popołudnie.
- Miri'on wzruszył ramionami – no i co? Lekcja pierwsza: każda pora jest dobra na drzemkę. Radzę wziąć ci to sobie do serca - wkrótce zatęsknisz za odpoczynkiem. A teraz żegnaj.

Po tych słowach Meri'on zniknął w chmurze dymu, a Jou'sha został w pokoju sam. Przez chwilę stał tak bez ruchu, rozmyślając nad tym, co się właśnie stało. Przybył tu w nadziei na odzyskanie wspomnień i choć nie uzyskał dokładnie tego, czego chciał, to odkrył przynajmniej drogę do osiągnięcia tego celu. Koniec z bezczynnością. Teraz nareszcie będzie mógł pokazać, na co go stać. Otrząsnął się z zamyślenia i ostatni raz rozejrzał się po pokoju, szykując się do jego opuszczenia. Nie wiedział wprawdzie, co ma zrobić z wciąż tłącymi się w palenisku płomieniami, lecz po krótkich rozważaniach zdecydował się je zostawić. Zresztą: i tak nie wiedział, jak miałby je zgasić.

- "Niech ogień w tym kominku pali się wiecznie, niczym płomień, który dziś zapłonął w moim sercu!" - pomyślał chłopak z dumą. Za chwilę jednak skrzywił się. To zabrzmiało idiotycznie. No cóż, pora opuścić to miejsce.

Staął przed drzwiami i już miał je otworzyć, gdy nagle jego wrażliwe uszy dosłyszały jakiś szelest po drugiej stronie. Zupełnie jakby czyiś oddech. Chwila ciszy... A teraz ciche pociągnięcie nosem! Czyżby ktoś przez cały ten czas stał po drugiej stronie i przysłuchiwał się całej rozmowie?

- A to drań! Niech no tylko dostanę go w swoje ręce! - pomyślał chłopak ze złością, lecz po chwili wpadł mu do głowy pewien pomysł - Tak właściwie to dobrze się składa: po co czekać do jutra? Jeżeli złapię tego szpiega, już dzisiaj pokażę Miri'en'owi, ile jestem wart!

Zaciskając prawą pięść, delikatnie dotknął klamki, tak, aby przedwcześnie nie spłoszyć intruza. Drzwi jednak odmówiły współpracy. Były tak stare, że zareagowały nawet na tak niewielki ruch. Jou'sha zaklął pod nosem, gdy klamka jęknęła z cicha. Był to doprawdy niewielki hałas, lecz widocznie wystarczający, by ostrzec osobę po drugiej stronie o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Zaskoczony Młodzieniec usłyszał bowiem jak nieznajomy w panice zrobił krok do tyłu sycząc przy tym – o cholera idzie tu! Jou'sha zmarszczył brwi. Ten głos brzmiał znajomo... Rozluźnił prawą rękę po czym otworzył wrota.

Po drugiej stronie, dosłownie parę kroków od wejścia, stała Nixea. Jak gdyby nigdy nic opierała się ścianę chaty i pogwizdywała sobie jakąś wesołą melodię. Chłopak podszedł do niej i postukał w ramię.

- Och to ty! - powiedziała, z udawanym zaskoczeniem. - Akurat skończyliście tę waszą rozmowę? Co za zbieg okoliczności, prawda?
- Doprawdy niezwykle. Nie powinnaś czasem dokarmiać strusio-smoków? - spytał chłopak - Słyszałem, że bywają bardzo żarłoczne o tej porze lata. – Dodał z przekąsem.
- Kto ci nagadał takich bzdur? – odpowiedziała ze zmieszaniem – Były takie nażarte, że nawet się ruszyć nie mogły, uznałam więc, że ...

Przerwał jej donośny, pełen żalu gulgot dochodzący od strony zagrody.

- O popatrz, chyba już zgłodniały – zauważył Jou'sha. Na jego twarzy pojawił się szyderczy uśmieszek – To doprawdy skomplikowane stworzenia.

Rozumiejąc, że została przejrzana, Nixea spochmurniała i skrzyżowała ręce na piersiach.

- Tak, tak są cudowne -warknęła, że złością – tak cudowne, że nie mogą przez 10 minut siedzieć cicho.

- Myślałem, że to miała być „rozmowa na osobności” -zauważył młodzieniec z wyrzutem

-Przecież była na osobności! A wszystko dlatego, że dzielnie stałam pod drzwiami i pilnowałam, aby nikt wam nie przeszkodził.

- Na przykład kto?

- Na przykład... – zająknęła się dziewczyna – na przykład... A wiesz co? Niech szlag trafi tę waszą „męską rozmowę”! I tak nie działo się tam nic ciekawego.

-Jak możesz tak mówić? Nie jesteś zaskoczona, że zostałam nowym uczniem?

-E tam, to było do przewidzenia. Zwykle tak to się kończy, gdy ojciec z kimś rozmawia.

-A co z moim nowym imieniem? Jak ci się podoba?

-Imieniem? – zdziwiła się Nix. Widocznie nie podsłuchiwała tak dobrze jak jej się wydawało – jakie ono jest?

-Od teraz możesz mówić mi Jou'sha - wyrecytował chłopak z nabożną wręcz czcią – oczywiście do czasu, gdy przypomnę sobie moje prawdziwe imię.

- Hmm. – jego towarzyszka myślała nad czymś przez chwilę – wiem, że mój ojciec pragnął zachować tradycję i w ogóle, ale nie uważasz, że brzmi ono troszkę dziwacznie? Powinieneś nazywać się jakoś bardziej po ludzku. Co powiesz na... Joshua?

-Joshua. - Chłopak zmarszczył brwi – no nie wiem, jak dla mnie brzmi trochę idiotycznie.

-To prawda. Ale imię powinno odzwierciedlać naturę jego właściciela. A to pasuje ci doskonale.

-No dobra, to co teraz? Twój ojciec radził mi, abym się przespał, ale przecież dopiero co się obudziłem.

-To z pewnością ci nie zaszkodzi. Ale najpierw chciałam cię oprowadzić po Wielodomu. W końcu od teraz ty także będziesz tu mieszkał, musisz więc go najpierw dobrze poznać.

- Tylko nie mów, że znów będziemy musieli korzystać z teleportacji. - jęknął młodzieniec - Mam już tego dość jak na jeden dzień.

Nix zachichotała, po czym nie czekając na reakcję, złapała towarzysza za rękę i oboje zniknęli w chmurze dymu. Tak zaczęła się nauka Jou'sha by zostać najpotężniejszym czarownikiem, jakiego widział świat.

Mijały dni. Chłopak codziennie wstawał przed wschodem słońca, by udać się na trening ze swoim nowym mistrzem. Zawsze czekał na niego przy omszonym polnym głazie, znajdującym się za starą chatą. Tam też odbywała się poranna medytacja. Za pierwszym razem Jou'sha nie wiedział, co ma zrobić, gdy zobaczył swego mentora siedzącego na trawie z zamkniętymi oczami. Chwilę pokręcił się wokół niego, po czym, gdy nie doczekał się żadnej reakcji, z braku pomysłu sam usiadł na mokrych kamieniach i czekał. Od tej pory robił tak codziennie, aż do momentu, gdy nad górami wschodziło słońce. Gdy było już na tyle wysoko, że jego blask oświecał ich obu, Miri'on wstawał i rozpoczynał lekcję. Z początku dotyczyły one nauki prostych gestów, zasad działania magii oraz ogólnych prawd życiowych. Po tygodniu, podczas jednych z zajęć były demon podniósł z ziemi starą gałąź po czym rozkazał:

- Zapal ją.

- Ale jak, mistrzu? – spytał skonsternowany młodzian – nie nauczyłeś mnie przecież, jak...

- Wspominałeś coś o twojej silnej woli. Po prostu rozkaż płomieniowi, aby zapłonął.

Jou'sha spróbował. Starał się z całych sił. Wyobraził sobie, jak kawałek drewna zostaje pochłonięty przez języki ognia, po czym zostają z niego tylko zwęglone resztki. Otworzył oczy. Nic takiego się jednak nie stało. Po kolejnych paru niepowodzeniach,

mistrz przerwał jego narastającą frustrację, ciskając gałązkę za siebie. Pokręcił głową po czym powiedział:

-Widocznie nie posiadasz naturalnego talentu. To jednak niczego nie wyklucza. W tym wypadku zajmiemy się wpierw twoimi umiejętnościami bojowymi.

Tak też się stało. Od tej pory chłopak zaczął uczyć się walki wręcz i sztuki korzystania z broni. Miri'on zaprowadził go do pomieszczenia zwanego zbrojownią. Nazwa dobrze oddawała jego naturę: mieścił się tam cały arsenał najróżniejszych broni: od prostych mieczy i łuków aż po egzotyczne szable i katany. "Dusza wojownika nie jest kształtowana przez broń, jaką nosi, lecz przez jego własne czyny" - rzekł wtedy Miri'on do swego ucznia - "tego samego nie można jednak powiedzieć o jego umiejętnościach". Jou'sha poświęcił wiele godzin na znalezienie dla siebie idealnego oręża. Po wypróbowaniu każdego przedmiotu służącego do walki, jaki znajdował się w zbrojowni, zdecydował się na krótką, elegancką włócznię, zwaną Yklwą. Od tej pory zabierał ją na każde spotkanie ze swym mistrzem.

- Bardzo dobrze - rzekł Miri'on pewnego ranka, obserwując, jak jego uczeń wymachuje w powietrzu swym narzędziem walki. - Dość już ćwiczeń na dziś. Zaatakuj mnie.
- Ależ mistrzu, nie masz przecież żadnej broni!
- Tym łatwiej dla ciebie. Po prostu to zrób.

Jou'sha w dalszym ciągu nie był przekonany co do tego pomysłu, jednak nie zamierzał kłócić się z mentorem. I tak nic by to nie dało. Przyjął więc pozycję bojową, po czym ruszył do ataku. Walka trwał tak krótko, że chłopak nie wiedział nawet, w jaki sposób znalazł się na ziemi.

- Zapamiętaj uczniu, przeciwnik bez broni nie zawsze musi być bezbronny. Wstawaj. Spróbuj jeszcze raz. Tym razem włóż więcej siły w pchnięcie.

Takie treningi nie miały ustalonego czasu trwania. Kończyły się wówczas, gdy wycieńczony, umorusany błotem chłopak nie miał już sił, by podnieść się po kolejnej przegranej walce. Potrafił tak leżeć jeszcze długo po odejściu swego nauczyciela, zdarzyło się nawet, że znalazła go Nixea. Powiedziała wówczas:

- No no, widzę, że nieźle się tu bawiliście. Sądząc po twoim wyglądzie, to musiała być naprawdę pouczająca lekcja.
- Nawet mi nie mów - jęknął Jou'sha - Nigdy bym nie przypuszczał, że w ludzkim ciele jest tyle miejsc, które mogą boleć...
- Leci ci krew z nosa - zauważyła dziewczyna – to chyba dobry znak.
- Dlaczego?
- No bo... To znaczy, że wciąż ją masz.

Młodzieniec spojrzał na nią spod przymkniętych powiek.

- Ty to naprawdę potrafisz pocieszyć człowieka.
- Dzięki. Może chcesz pójść ze mną nad potok? Akurat idę tam po świeżą wodę.
- Nie, dzięki. Chyba poleżę tu jeszcze trochę.

- No tak. Zapomniałam, że ludzie są tacy leniwi.

Jou'sha usłyszał jak jego towarzyszka odchodzi w stronę lasu. Na powrót zamknął oczy i pograżył się w drzemce.

Mijały tygodnie. Tygodnie zamieniały się w miesiące. W końcu zaczęło robić się coraz zimniej. Coraz częściej padało, czasem nawet na tyle mocno, że Miri'on zmuszony był odwołać poranny trening. Wszystko zmieniło się jednak, gdy pewnego wieczora spadł padać śnieg. Nie minęło wiele czasu zanim zdążył pokryć cały pagórek, zbocza i dach starej chaty. W takich warunkach samo poruszanie się na zewnątrz stanowiło nie lada wyzwanie, nie mówiąc już o walce.

- Od jutra zaczyna się sezon zimowy - oznajmił uczniowi Miri'on, gdy jedli wspólnie kolację - Przez ten czas koniec z treningami. W górach nie można lekceważyć zimy ani tego, co przychodzi wraz z nią. Ogłaszam więc całkowity zakaz wychodzenia na zewnątrz. Tyczy się to was oboje.
- To znaczy, że nie będzie żadnych lekcji? Ale co mam robić przez cały ten czas?
- spytał Jou'sha

Jego nauczyciel sarknął:

- Każdy dzień może być lekcją. To, co ze sobą poczniesz zależy wyłącznie od ciebie. Ja natomiast zastosuję się do pierwszej rady, jaką ci dałem. W końcu obowiązkiem nauczyciela jest dawanie dobrego przykładu swym podopiecznym.

Chłopak zmarszczył brwi

- Będiesz zadawał pytania? - spytał, nie bardzo rozumiejąc
- Będę spał. Właściwie zamierzam uciąć sobie dość długą drzemkę, ostatnio zainspirowały mnie do tego niedźwiedzie. To takie mądre zwierzęta. W każdym razie – obawiam się, że nie zobaczymy się przez dłuższy czas. Postarajcie się więc nic nie namieszać pod moją nieobecność, dzieci.
- Tak jest, ojcze.
- Tak jest, mistrzu.

Pierwsze dni zimy były dla Jou'shy nie do zniesienia. Przypomniawszy sobie swój pierwszy dzień w tym niezwykłym miejscu. Odczuwał wtedy takie samo poczucie bezsilności. Nixea podarowała mu w prawdzie zaczarowany pierścień umożliwiający mu samodzielne poruszanie się po Wielodomu, jednak eksplorowanie tego miejsca szybko się mu znudziło. Przez większość czasu spał lub pomagał dziewczynie w domowych obowiązkach. Musiał jednak wyglądać przy tym bardzo markotnie, bo któregoś dnia jego towarzyszka spytała:

- Wiesz co Joshua, skoro tak bardzo ci się nudzi, dlaczego nie zajrzysz do naszej biblioteki? Czy chłopcy naprawdę myślą, że nauka kończy się na wymachiwaniu kawałkiem żelastwa?
- Nie mówiłaś, że macie tu bibliotekę! - młodzieniec poderwał się na równe nogi.

- Nie pokazywałam ci jej pierwszego dnia? - zdziwiła się Nix - Cóż, musiało wylecieć mi to z głowy. W takim razie nic straconego, pokażę ci ją teraz, jeżeli chcesz.

Jou'sha chciał. A to co po chwili zobaczył kilkakrotnie przekroczyło jego oczekiwania.

- Ile tutaj jest książek! – westchnął ze zdumieniem
- Kiedyś próbowałam je policzyć. Podałam się na 12.443. Jeżeli zamierzasz pobić mój rekord, to życzę powodzenia. Wiesz, ojciec opowiadał mi, że poświęcił wiele lat na zebranie tej kolekcji. Podobno można znaleźć tu księgi z każdej dziedziny nauki: historii, geografii, fizyki (to ostatnie to syf, nie polecam) albo no nie wiem...
- ...Magii. - dopowiedział chłopak z uśmiechem. - Chyba już wiem, jak spędzę tę zimę.

Od tej pory Jou'sha zaczął przesiadywać w bibliotece całymi dniami. Od rana do wieczora studiował opasłe tomy, starając się zapamiętać wszystko, co związane z wiedzą tajemną. Nie poprzestał jednak tylko na tym: czytał książki historyczne, kroniki, a także różnego rodzaju atlasy i bestiariusze. Co jakiś czas upewniał się też, czy aby na pewno żadna z ponad 12. 443 pozycji nie rozpisuje się na temat odzyskiwania utraconych wspomnień. Od czasu do czasu udawał się do zbrojowni, gdzie samotnie ćwiczył walkę Yklwą, lub spędzał czas z Nix. Tak upłynął miesiąc. A potem następny. Chłopak nawet nie zauważył, kiedy zaczęło robić się coraz cieplej, a śnieg na zboczach zaczął topnieć.

Pewnego słonecznego poranka, Jou'sha zajrzał na chwilę do starej chaty, aby sprawdzić czy któraś z znajdujących się tam ksiąg dotyczy używania magii, gdy dostrzegł, że drzwi do niej są uchylone. Czyżby ktoś wyszedł na zewnątrz? Postanowił to sprawdzić. Zdziwił się, gdy przekonał się, że na pagórku nie ma już ani grama białego puchu, co więcej usłyszał śpiewające jaskółki i szum potoku w dole. Jego radość sięgnęła jednak zenitu, gdy ujrzał znajomą postać siedzącą pod wielkim głazem. Promienie słońca w pełni oświeślały jej stary skórzany płaszcz i przycięte w połowie rogi.

- Długo kazałeś na siebie czekać mój uczniu. - rzekł Miri'on. - Martwi mnie jednak twój brak przygotowania. Przynieś prędko swą broń. Mam nadzieję, że twoje umiejętności nie wyparowały razem z zimowym smrodem.

Chłopak uśmiechnął się. Wygląda na to, że wiosna rozpoczęła się na dobre.

Wszystko zaczęło wracać do normy. Okazało się, że długi okres stagnacji wcale nie osłabił jego zdolności do walki, a wręcz przeciwnie: szło mu coraz lepiej. Miri'eon z coraz większym trudem unikał zaciekłych ciosów chłopaka i w końcu stało się dla niego jasne, że bez własnego oręża nie zdoła nawet zbliżyć się do przeciwnika. Jou'sha nigdy nie zapomniał satysfakcji jaką poczuł następnego ranka, gdy zobaczył, że przed czekającym na niego nauczycielem leżała włócznia podobna do jego własnej. Od tej pory wymiany ciosów między mistrzem i uczniem stawały się coraz dłuższe, co przekładało się na długość treningów. Często trwały one, dopóki Nixea nie zawołała

ich na śniadanie. Przez resztę dnia chłopak siedział w bibliotece, chodził na spacer po lesie lub spotykał się z Nix.

Prawdziwy przełom miał jednak nadejść kilka miesięcy później. Los sprawił, że mijał wtedy rok od pierwszego dnia, jaki pamiętał. To już nie była walka treningowa. Przestała nią być około godzinę temu. Teraz pod starym głazem toczył się najprawdziwszy pojedynek. Walczący raz po raz wymieniali ciosy, co jakiś czas zatrzymując się, by zmierzyć przeciwnika groźnym wzrokiem i dać sobie chwilę na wytchnienie. Żadna walka nie trwa jednak wiecznie. Miri'eon ruszył z krzykiem do ataku, wymachując przed sobą swą bronią. Chłopak bez problemu zdołał się uchylić przed dwoma pierwszymi ciosami, trzeci przeleciał mu tuż nad głową, a czwarty niemal przebił mu pierś. Dysząc ciężko zrobił dwa kroki w tył. Tym razem miał szczęście, wiedział jednak, że może nie przetrwać następnej takiej serii. Jeżeli chce zwyciężyć musi zakończyć to tu i teraz. Zebrał wszystkie siły i przygotował się do następnego natarcia. Tymczasem jego mistrz wyszczerzył zęby po czym powtórnie ruszył na oponenta. Jou'sha sparował pierwsze dwa ciosy i ledwo uchylił się przed trzecim. Teraz czwarty: pchnięcie w pierś! Chłopak w ostatniej chwili wykręcił swój tułów, a gdy za sprawą chybionego ciosu, wrogie ostrze znalazło się kilka centymetrów jego ciała, chwycił broń zaskoczonego rywala, po czym z furią ciął go w lewą nogę.

Trysnęła czarna krew. Miri'eon z okrzykiem bólu wypuścił broń z ręki i upadł na ziemię.

- Mistrzu! - wrzasnął Jou'sha, podbiegając do rannego nauczyciela – Wybacz mi mistrzu, nie chciałem... Nie miałem pojęcia, że...
- Przestań się mazać i podaj mi mój kostur - syknął Miri'eon. Starał się zachować kamienną twarz, choć po jego głosie słychać było, że cierpi.

Chłopak spełnił jego polecenie. Były demon z trudem podniósł się z ziemi i z wciąż otwartą raną, pokuśtykał do swego ucznia.

- Koniec na dzisiaj mój uczniu. Widzę, że moje nauki w końcu przyniosły owoc. Jestem z ciebie dumny.

Po tych słowach Miri'eon zniknął w chmurze dymu, zostawiając chłopka samego. "Jestem z ciebie dumny". Te dwa niepozorne słowa znaczyły dla niego więcej niż mogłoby się wydawać i młodzieniec miał zapamiętać je już do końca swych dni. Jaka szkoda, że Nix nie mogła go teraz zobaczyć. Chłopak ostatni raz widział ją kilka tygodni temu. Przesiadywał wówczas w jednej z licznych sal Wielodomu, mieszczącej w sobie pokaźną kolekcję hełmów i zbroi z najróżniejszych okresów historycznych. Zafascynowany był zwłaszcza tymi pierwszymi. "Kiedyś sam zgromadzę taką kolekcję" postanowił sobie wtedy. Wtem jego rozmyślenia zostały przerwane przez znajomy trask dymu – co musiało oznaczać, że nie już w pomieszczeniu sam. Zresztą prędko przekonał się, kto zdecydował się go odwiedzić.

- Hej, Joshua! - zagaiła Nixea, uśmiechając się jak zwykle. - tylko nie mów, że interesują cię te zakurzone graty.

- To nie żadne graty - obruszył się młodzieniec, odkładając trzymany w ręku kask na miejsce - tylko starożytne pancerze używane przez Zakon Rycerzy Pożogi. Nawet się nie domyślasz, jaki kawał historii kryje się w tym kawałku żelaza.
- To prawda i wcale mnie to nie obchodzi.

Jou'sha uśmiechnął się. Dziewczyna zawsze potrafiła go rozbawić. Przyjrzał jej się dokładniej. Dopiero teraz zauważył, że jej zazwyczaj rozpuszczone włosy upięte były w kok, a zamiast codziennego ubrania włożyła na siebie coś innego. Czyżby strój podróży?

- Przyszłam się pożegnać.
- Wyjeżdżasz? Dlaczego nic o tym nie wiem?
- Nie pytałeś - Nixea wzruszyła ramionami - wydawałeś się taki zajęty ćwiczeniami, że nie chciałam ci przeszkadzać. To tylko rutynowa podróż - co roku pod koniec lata udaję się do położonego za górami miasta Windflood, aby sprzedać tam produkty z naszej farmy.
- Po co? Przecież nie potrzebujemy pieniędzy. Nawet ich nie używamy!
- To prawda. Ale ludzie muszą coś jeść. Odkąd przejął tam władzę okrutny Hrabia Retley, w Windflood panuje głód i nędza. Mieszkańcy nie poradzą sobie sami, dlatego potajemnie zaopatruję ich w zapasy, by mogli przetrwać zimę.
- Myślałem, że ludzie w miastach uważają was za potwory.
- To prawda. Dlatego potrafię zrobić tak! - dziewczyna machnęła palcem przed swoją twarzą, mamrocząc przy tym jakieś niewyraźne słowa. Po chwili jej rogi zniknęły a skóra zaczęła zmieniać kolor, aż stała się całkowicie kremowa. I co, jak ci się podoba?
- No nie wiem... - Jou'sha w dalszym ciągu nie był przekonany co do tego pomysłu.
- Hej, posłuchaj mnie. To naprawdę słodkie, że tak się o mnie troszczysz, ale obiecuję ci, że nic mi nie będzie. Zrozum: po prostu muszę tam pojechać. Już prawie rok starasz się zostać czarownikiem – ja w tym czasie też miałam ręce pełne roboty. Z resztą, jeżeli chcesz... Możesz pojechać ze mną.

Chłopak zawahał się przez chwilę.

- Wybacz, Nix - odparł po chwili krępującego milczenia – chyba muszę zostać tutaj. Wiesz, jutro mam trening...
- Ty zawsze masz trening - powiedziała dziewczyna z udawanym oburzeniem. A może naprawdę było jej przykro? - No cóż w takim razie zobaczymy się za kilka tygodni. Może do tego czasu zrobisz wreszcie jakieś postępy.

Od czasu tamtej rozmowy minął już prawie miesiąc. Widocznie coś musiało zatrzymać dziewczynę w mieście. Jou'sha westchnął - może podjął jednak wtedy złą

decyzję? W zamyśleniu zebrał porzucony na trawie oręż, po czym udał się z powrotem do chaty na zasłużony odpoczynek.

Nazajutrz obudził się później niż zwykle. Słońce dawno już świeciło na niebie, a ptaki ćwierkały w najlepsze. Mimo bólu mięśni, jaki towarzyszył mu po wczorajszej walce, natychmiast zerwał się z posłania. Za wszelką cenę nie chciał bowiem rozgniewać swego mistrza. "Na to już chyba z resztą za późno" pomyślał, biegnąc do zbrojowni. Pośpiesznie chwycił swą broń, gdy się jednak odwrócił aż podskoczył ze strachu. Stał tam Miri'eon we własnej osobie i co najdziwniejsze wcale nie wyglądał na niezadowolonego.

- Widzę, że dobrze dzisiaj spałeś. Bardzo dobrze, zasłużyłeś sobie na to. Jak się pewnie domyślasz, dzisiejszy trening jest odwołany.

"Czyżby zastała nas jakaś letnia burza"? Pomyślał chłopak z konsternacją. Nie - przecież jeszcze przed chwilą czuł na swojej twarzy promienie słońca i słyszał śpiew ptaków. Pogoda w górach potrafiła być gwałtowna, jednak nigdy w takim stopniu.

- Czy to przez twoją ranę, mistrzu? - spytał zamiast tego. Na początku wydawało mu się, że jego nauczyciel wyleczy po prostu obrażenia za pomocą magii. Ewidentnie jednak tego nie zrobił, o czym świadczył biały bandaż owinięty wokół jego nogi.
- Nie gadaj głupstw - sarknął jego mentor – Po prostu uznałem, że jesteś już gotowy.
- Gotowy? Ale gotowy na co?
- Na ostateczną próbę, rzecz jasna.
- Jaką próbę? Nie dawał za wygraną chłopak. Sytuacja zaczęła się robić coraz dziwniejsza.
- Posłuchaj mnie teraz uważnie, mój uczniu: jak wiesz, w tych górach aż roi się od dzikich bestii i potworów, które dają się we znaki mieszkańcom okolicznych wiosek. Wielu rycerzy próbowało zorganizować wyprawę, by ostatecznie wyzwolić ludzi od tych stworów, lecz wszystkie zakończyły się niepowodzeniem, a na pomoc ze strony króla w tych czasach nie ma co liczyć. Od lat moi uczniowie poddawani są więc próbie: muszą wyruszyć w knieje, aby samodzielnie pokonać i zdobyć głowę najstraszniejszego potwora, jakiego znajda. Jeżeli ci się uda, ostatecznie nadam ci tytuł czarownika.
- Przecież ja nie potrafię rzucić nawet najprostszego zaklęcia! Jak mam sprostać takiemu przeciwnikowi bez znajomości magii?
- To nie ma w tym momencie żadnego znaczenia. - uciął jego mistrz – mówiłem ci przecież, że uznałem, iż jesteś gotowy. A to, czy dasz sobie radę – to już zupełnie inna kwestia.

Chłopak wypuścił powietrze z płuc. Przez te parę minut wydarzyło się więcej niż niejednego zimowego dnia. Dawno temu jednak przysiągł swemu mentorowi, że nie ugnie się przed żadnym wyzwaniem. Zamierzał dotrzymać słowa. Nawet jeżeli miałyby to oznaczać samotną walkę z jakimś przerażającym stworem w miejscu, w którym nigdy wcześniej nie był. Skłonił więc głowę, po czym rzekł:

- Tak jest, mistrzu. Zrobię, co rozkażesz.

Trop był świeży. Świadczyły o tym jego wyraźne, ostre krawędzie i rozrzucone wokół grudki ziemi. Tak, z pewnością musiał zostać pozostawiony najdalej wczorajszej nocy. Jou'sha podniósł się z mokrej ziemi. Zanim wyruszył na tę wyprawę, myślał, że podążanie tropem wielkiego potwora nie będzie niczym trudnym. Po dwóch dniach błędzenia wielokrotnie dochodził do wniosku, że jakakolwiek próba znalezienia bestii na własną rękę jest zupełnie pozbawiona sensu. Rosefang była wyjątkowo skalistą i stromą górą, pełną zdradliwych zapadlisk i przełęczy. A w dodatku sporą jej część porastały gęste lasy. W takich warunkach sama podróż była nie lada wyzwaniem. Za każdym razem decydował się jednak wznowić wędrówkę. Nie mógł przecież zawieść swego mistrza. Już od paru godzin przemierzał górskie zbocza, od czasu do czasu natrafiając na ślady bytności tropionego stwora: powalone drzewa, szczątki leśnych zwierząt lub tropy takie jak ten, który właśnie znalazł. Takie znaleziska dodawały mu otuchy, oznaczało to bowiem, że zmierza w dobrym kierunku.

Jou'sha westchnął i podniósł się z ziemi. Dochodziło południe, lecz zamiast słońca po niebie sunęły wielkie szare chmury. „Będzie padać jak nic” – pomyślał chłopak. To z kolei oznaczało, że musiał jak najszybciej znaleźć schronienie. Ostatnią rzeczą jakiej pragnął było błędzenie w lesie pełnym potworów.

Trzy godziny później dostrzegł w oddali niewielką jaskinię, prawdopodobnie należącą do jakiegoś niedźwiedzia. Miał tylko nadzieję, że jej właściciela nie ma akurat w domu. Niestety, akurat w tym momencie zaczęło padać. Z początku delikatna mżawka po chwili przemieniała się w prawdziwą ulewę, tak, że zanim młodzian zdążył wspiąć się na półkę skalną, jego ubranie zdążyło już całkowicie przemoknąć.

Szczękając zębami z zimna wszedł do ciemnej jamy. Okazała się być mniejsza niż się spodziewał, jednak zapewniała doskonałą osłonę od wiatru i deszczu, a co najważniejsze: była pusta. Jej jedyną wadą był panujący w niej chłód, jednak akurat temu można było zaradzić. Chłopak rzucił swój plecak na podłogę, po czym zaczął wyjmować z niego patyki, kawałki drewna i suche liście, które udało mu się zebrać wcześniej. „Uciekająca zwierzyna polega na środowisku, w którym żyje. Myśliwy zaś może polegać wyłącznie na sobie samym” - powiedział niegdyś jego mistrz. Jou'sha uśmiechnął się. Dzięki niebiosom: większość chrustu nie nasiąkła wodą i wciąż nadawała się do użytku.

Chłopak ułożył suche gałązki w niewielki kopczyk, po czym usiadł na ziemi i zamknął oczy. Odegnął od siebie wszystkie myśli i wyciszył swój umysł. Słyszał bębnienie kropel deszczu o półkę skalną. Wycie wiatru pomiędzy skałami. Bicie własnego serca. Powoli wyciągnął przed siebie rękę. Wyobraził sobie jak leżący przed nim chrust wybucha językami ognia, po czym zmienia się w najprawdziwsze w świecie ognisko. „Płoń!” rozkazał w myślach. Gdy jednak pełen nadziei, otworzył oczy zastał taki sam widok jak przedtem. „Niech to szlag”. Jou'sha westchnął ciężko, po czym niechętnie zabrał się do rozpalania ognia – tym razem w tradycyjny sposób.

Ulewa trwała przez cały wieczór, co oznaczało, że młodzieniec miał już dziś nie zejść nigdzie dalej. Postanowił więc na dobre rozbić w jaskini obozowisko. Rozłożył swoje mokre ubrania blisko, naostrzył swój nóż myśliwski oraz sprawdził czy aby na pewno woda nie uszkodziła owiniętego w szmaty ostrza jego włóczni. Na koniec posilił się suchym chlebem i suszonymi kawałkami mięsa, które zabrał z Wielodomu. Z niepokojem zauważył, że jego zapasy powoli się wyczerpują: starczą jeszcze na góra dwa dni. Po skończonym posiłku, zabezpieczył prowiant, tak aby przypadkiem jego zapach nie zwabił dzikich zwierząt. Następnie włożył do ogniska jeszcze nieco liści, po czym, owinięty w skóry, położył się na ziemi. Ostatnią rzeczą jaką usłyszał był dochodzący z oddali, skrzekliwy śpiew. To była jego zdobycz. Czekala na niego, gdzieś w tym lesie. Może nawet spotka ją jutro? Chłopak zamknął powieki i zapadł w głęboki sen.

Jou'sha nieraz w swoim życiu przekonał się jak skrajny potrafi być górski klimat, tak też nie zdziwił się, gdy następnego dnia zamiast szarych chmur, powitało go jasnoniebieskie niebo i promieniejące słońce. Idealny dzień na łowy. Po przebudzeniu, chłopak nie mógł stracić ani chwili – gryząc kromkę chleba, w pośpiechu włożył na siebie wyschnięte ubrania, chwycił Yklwę i narzucił plecak. Był gotowy do drogi.

Jego zapał nie trwał jednak długo. Okazało się, że droga, którą ma podążać wiodła dokładnie na wschód, co sprawiło, że przez pierwszą połowę dnia słońce raziło go prosto w oczy. Na dodatek przestał natrafiać na jakiegokolwiek ślady swej ofiary. W końcu, walcząc z porywistym wichrem, dotarł nad skalistą skarpę. Rozciągał się stąd dobry widok na okolicę. Jou'sha rozejrzał się: tak właściwie był nieco zawiedziony - spodziewał się, że po przejściu tak dalekiej drogi, natrafi w końcu na coś co go zaskoczy. Widok, który ujrzał był co prawda malowniczy, lecz zupełnie podobny do pozostałych: ot kolejne porośnięte lasami zbocza, skaliste szczyty, biały dym unoszący się między drzewami, wijący się niczym wąż potok...

Chwila - biały dym? Chłopak aż przetarł oczy ze zdziwienia. Rzeczywiście tam był. A on - Jou'sha był tak rozkojarzony, że niemal go nie dostrzegł! Przyjrzał się uważniej niewyraźnej smudze. Jej rozmiar i kształt przypominał dym wydobywający się z ogniska. Czyżby ktoś był na tyle głupi, aby rozbić ognisko w lesie pełnym dzikich bestii? Chłopak przez chwilę walczył sam ze sobą, w końcu jednak jego ciekawość wzięła górę. "Ktokolwiek to jest, może znajdować się w potrzebie" - tłumaczył sobie - "Nie mogę tak tego zostawić". Dotarcie do źródła dymu nie powinno zająć więcej niż godzinę, na pewno zdąży więc wrócić na obrany szlak przed wieczorem. A może cały ten dym był po prostu jakimś rodzajem sztuczki, który miał wpędzić go w pułapkę? "Cóż, jeżeli istotnie tak jest, to lepiej, aby zastawił ją jakiś wielki potwór. Wtedy zaoszczędzę przynajmniej trochę czasu" pomyślał młodzieniec po czym zaczął ostrożnie schodzić w dół kamienistej skarpy.

Po ponad godzinie zaczął rozpoznawać charakterystyczne ułożenie terenu, jakie miał okazję zaobserwować z góry. Musiał być już blisko. Nagle coś przykuło jego uwagę. Schylił się i opuszkami palców dotknął odbity w ściółce ślad buta. A jednak: w lesie byli inni ludzie. Nie mógł mieć jednak pewności czy będą nastawieni do niego przyjaźnie, od tej pory więc zaczął chodzić wolniej, starając się wydawać jak najmniej

hałasu. W końcu jego oczom ukazało obozowisko. Zostało rozbite na niewielkiej leśnej polance, otoczonej przez gęsty las. Schowany w zaroślach Jou'sha wyrzał na chwilę, by lepiej się mu przyjrzeć. Kolejny raz się dzisiaj zawiódł - na całe obóz składał się bowiem jeden utkany namiot i dawno już przysypane ziemią ognisko. Ich właściciela nie było jednak nigdzie widać. Być może dobrym pomysłem byłoby zakraść się tam i...

Wtem dostrzegł gwałtowny ruch w namiocie, przywarł więc głową do ziemi, aby stać się jak najmniej widoczny. Po chwili z konstrukcji wychynął jakiś mężczyzna. Był ubrany w mieniającą się w słońcu kolczugę, żelazne naramienniki, a w ręce trzymał piękny, srebrzysty hełm. Nie było wątpliwości: chłopak miał przed sobą najprawdopodobniejszego w świecie rycerza! Nieznajomy rozejrzał się w koło, po czym zostawiwszy swój kask na pieńku drewna, podniósł leżącą na ziemi siekierę, po czym gwiżdżąc jakąś melodię zniknął w gąszczu drzew. "Poszedł pewnie po drewno" - pomyślał chłopak - widocznie nie tylko on uznał, że noszenie ze sobą drewna na podpałkę jest dobrym pomysłem.

Panowała cisza, przerywana od czasu do czasu przez szum wiatru. Mijały kolejne minuty, a tajemniczy rycerz ciągle nie wracał. "Co też może zajmować mu tak wiele czasu?" - zastanawiał się Jou'sha ze swej kryjówki. Ścinanie gałęzi nie było przecież wymagającym zadaniem - sam się o tym przekonał. "Dosyć już tego!" - pomyślał ze złością. - "Po co w ogóle czekam na jakiegoś typa, który zniknął w lesie, diabli wiedzą w jakim celu? Już i tak straciłem tu za dużo czasu, przyjrę się tylko temu hełmowi i już mnie tu nie ma."

Los jednak, chciał inaczej. Gdy tylko młodzieniec podniósł się z ziemi poczuł na szyi zimny dotyk stali.

- Żadnych gwałtownych ruchów - syknął ktoś z tyłu. - Podnieś ręce do góry. Dobrze. A teraz odwróć się w moją stronę, tylko powoli.

Chłopak przełknął ślinę i wykonał polecenie agresora. Tak jak zdążył się już domyślić, za jego plecami stał odziany w zbroję wojownik. Jou'sha zdziwił się, gdy zdał sobie sprawę, że dzieli ich niewielka różnica wieku - nieznajomy mógł być starszy jedynie o parę lat. Posiadał długie blond włosy, wysuniętą do przodu szczękę, a jego lewa brew przecięta była niewielką blizną. Może nawet wydałby się chłopakowi sympatyczny, gdyby nie to, że wciąż trzymał ostrze swego miecza przy jego gardle.

- Mów szybko kim jesteś i dlaczego mnie śledzisz - kontynuował wojownik - Możesz też od razu podać powód, dla którego miałbym cię nie zabić.
- Jestem łowcą, panie - odparł młodzian. Mimo strachu, jego głos brzmiał pewnie - Od kilku dni ścigam pewną bestię - sprawa osobista. Dostrzegłem dym i postanowiłem sprawdzić skąd się bierze.
- Coś długo siedziałeś w tych krzakach, jak na zwykłą ciekawość - powątpiewał mężczyzna - przyznaj się: chciałeś mnie okraść.

Jou'sha uśmiechnął się w myślach. Jego rozmówca nie należał najwyraźniej do najszybszych

- Czy nie sadzisz, panie, że gdybym istotnie chciał cię okraść zrobiłbym to natychmiast po twoim zniknięciu? Czekałem tu wyłącznie, w razie gdybyś potrzebował pomocy.

Na te słowa nieznajomy roześmiał się parskliwym śmiechem:

- A to dobre! - wykrztusił odsuwając wreszcie swój miecz na bezpieczniejszą odległość. - mówisz, że jesteś łowcą tak? W to akurat jestem w stanie uwierzyć. Mam więc rozumieć, że od teraz górale również polują na błękitną perłę? Cóż muszę cię zmartwić, przyjacielu. Twoje poszukiwania właśnie dobiegły końca.
- B-błękitnej perły? - oszołomiony chłopak nigdy nie słyszał tej nazwy – N-nie czekaj! - dodał szybko, widząc, że rycerz zaciska mocniej palce na rękojeści swej broni – nie wiem nic o żadnej perle!
- Dlaczego więc miałbyś zapuszczać się tak daleko w góry? - zdziwił się wojownik
- Mówiłem ci panie, że poluję na bestię! M-moja rodzina potrzebuje jedzenia. Na prawdę nie wiem nic o żadnej perle. - powtórzył młodzian

Rycerz zastanawiał się nad czymś przez chwilę po czym nareszcie zdecydował się schować swój miecz do pochwy.

- Dobrze - zaczął powoli - jeżeli mówisz prawdę to chyba znalazłem układ, który zadowoli nas obu. Nazywam się William Retley. Tydzień temu, wraz z towarzyszami wyruszyliśmy z miasta Windflood aby zdobyć błękitną perłę. Niestety po drodze miał miejsce dość niefortunny wypadek: pewnej zostaliśmy zaatakowani przez grupę wilkołaków. Oczywiście nie stanowiły dla mnie wyzwania, jednak moi wojownicy nie byli wyszkoleni tak dobrze. Wszyscy zginęli.
- Przykro mi to słyszeć

William wzruszył ramionami

- Niewielka to strata – nie było wśród nich nikogo ważnego. Ich brak stawia mnie jednak w trudnej sytuacji. Błękitnej perły strzeże bowiem ogromny Lotopłaz - to potwór przypominający połączenie węża i ptaka. Domyślasz się więc z pewnością, że jedna osoba nie ma szans zdobyć tego skarbu bez pomocy. Nigdy nie poprosiłbym zwykłego wieśniaka o wsparcie, jednak widzę, że należysz do rodu wojowników - wskazał na leżącą na ziemi Yklwę - Pomożesz mi więc zdobyć perłę, a sam będziesz mógł zabić pilnującego jej potwora. I co na to powiesz?

Jou'sha pomyślał przez chwilę. Co prawda nazwisko Wiliama początkowo go odstraszyło, jednak w końcu musiał przyznać, że to dość dobra oferta. Miał tylko nadzieję, że tym co za chwilę zrobi, nie złamie jakichś zasad próby.

- Zgoda - powiedział w końcu - ale tylko pod warunkiem, że pozwolisz bym zabił bestię sam.

Rycerz wyszczerzył zęby w uśmiechu:

- No no, widzę, że trafiłem na zacieklego wojownika! Dobrze przyjacielu, niech będzie, jak chcesz. Pomóż mi zwinąć mój namiot – ruszamy natychmiast.
- Ale dokąd? - spytał młodzieniec
- Na sam szczyt - odparł William – prosto do gniazda bestii.

Podróż zajęła im kolejne dwa dni, lecz mimo wszystko przebiegała dosyć sprawnie. Wojownik z zaskakującą precyzją omijał zarośnięte lub zasypane fragmenty szlaku, do tego stopnia, że Jou'sha mógłby podejrzewać, że dokładnie zna drogę na szczyt. Przez ten czas wiele rozmawiali, no, tak naprawdę mówił głównie William. Opowiadał głównie o sobie i swych wspaniałych wyprawach i osiągnięciach, zaś chłopak słuchał tych historii z zapartym tchem. Sam jednak udzielał bardzo wymijających odpowiedzi, ilekroć jego kompan zadawał jakieś pytanie dotyczące jego przeszłości.

W końcu ich oczom ukazał się cel ich podróży: szczyt Rosefangu. Kompanów dzieliło od niego najwyżej parę godzin drogi. Zaczęło się jednak ściemniać, zdecydowali się więc przeczekać noc i ruszyć w dalszą drogę o świcie. Z początku wydawało się, że to dobry pomysł, żaden z nich nie wziął jednak pod uwagę działania zdradliwej górskiej pogody. Nazajutrz zamiast słońca, podróżników powitały znienawidzone szare chmury.

- To nie wróży nic dobrego - ostrzegł Jou'sha swego kompana – Zapowiada się na jeszcze większą ulewę niż ostatnio, może nawet na burzę. Chyba powinniśmy zawrócić i przeczekać ją w bezpiecznym miejscu.
- Żartujesz? Im większe niebezpieczeństwo tym większa chwała i wspanialsze pieśni! Z resztą mój ojciec od tygodni wyczekuje aż przywiozę mu perłę, a bynajmniej nie należy do cierpliwych osób. Nie zamierzam go zawieść
- Dlaczego ta cała perła jest taka cenna? - chłopak zadał pytanie, które dręczyło go od czasu, kiedy pierwszy raz usłyszał tę nazwę

William wzruszył ramionami:

- Nie mam pojęcia. Obiło mi się kiedyś o uszy, że jest niezwykle poszukiwana przez kolekcjonerów. To z kolei oznacza, że musi być warta jest kupę szmalu. Z resztą, to że mój ojciec pragnie ją posiadać jest dla mnie dostatecznym argumentem.

Jou'sha pokiwał głową. Może jednak Nix miała rację, gdy opisywała chciwość hrabiego. Swoją drogą chętnie by ją teraz zobaczył. "Już niedługo" - obiecał sobie.

Szli teraz samym skalistym grzbietem góry. Zaczął padać deszcz. Zaczął wiać wiatr. Jou'sha z przerażeniem usłyszał za sobą huk grzmotu. Wichura narastała z każdym ich krokiem. Kamienie, po których stąpali stały się zupełnie śliskie a ubranie chłopaka znów nasiąkło wodą. "Ta misja to samobójstwo!" - pomyślał w panice. Jego towarzysz przeżywał te chwile zupełnie inaczej. Zdawało się nawet, że czerpie przyjemność z całej sytuacji.

- OTO PRAWDZIWY ZEW PRZYGODY!!! - wrzasnął z radością, gdy na niebie pojawiła się kolejna błyskawica.

W końcu byli już na tyle blisko szczytu, że chłopak dostrzegł olbrzymie gniazdo, uwite na olbrzymiej skale, przypominającej kształtem olbrzymi szpon. Nigdzie nie było natomiast widać jego właściciela.

- Nie ma jej w gnieździe? - zdziwił się William – to znaczy, że musiała iść...

W tym momencie za ich plecami rozległ się rozdzierający wrzask. Dźwięk ten przypominał nieco strusio-smoka, był jednak sto razy bardziej krwiożerczy i tysiąc razy bardziej przerażający. Jou'sha poczuł, że nogi robią się mu jak z waty. Gdy się odwrócił zobaczył za sobą ogromnego węzoptaka. Jego olbrzymie, wijące się cielsko kilkakrotnie przerastało dorosłego człowieka. Jego barwnie opierzone skrzydła były rozpostarte a końcówka ogona wibrowała delikatnie, niczym u grzechotnika. Najstraszniejsze były w nim jednak jego żółte, jaśniejące w ciemności oczy. Młodzieniec nigdy nie widział tak zdesperowanych, przepełnionych nienawiścią i bólem oczu...

Wtem potwór uniósł swój potężny, pokryty łuską łeb do góry, szykując się do ataku.

- Biegnij po perłę! - Wrzasnął William – ja ją zatrzymam!
- J-jak to?! Nie tak się umawialiśmy! Przecież to ja miałem...

Chłopak nie zdążył dokończyć zdania. Rycerz i bestia ruszyli na siebie, każde wydając z siebie mrozący krew w żyłach krzyk.

Nie miał wyboru. Słyszając za sobą odgłosy walki, pognął, ile sił w nogach w kierunku grzędy. Dwukrotnie poślizgnął się o jakiś mokry kamień, boleśnie raniąc sobie kolana. Nie miał jednak czasu by się tym martwić. Wstawał najszybciej jak mógł i kontynuował swój szaleńczy bieg. Za moment był już przy zębowej skale. Odwrócił się łapiąc oddech. Bój był zacięły, jednak z tej odległości nie sposób było ocenić kto wygrywa. Jou'sha mógł żywić jedynie nadzieję, że jego kompan wytrwa do czasu aż chłopak przyjdzie mu z pomocą. Nie rozumiał tylko, dlaczego węzoptak nie użyje swych skrzydeł i nie podleci, by bronić swego skarbu, skoro był dla niego taki cenny. Nie miał jednak czasu by się na tym zastanawiać

Na niebie pojawiła się kolejna błyskawica. Młodzieniec zaczął z trudem wspinać się po wilgotnej skale. Raz po raz zsuwał się ze struktury, nie poddawał się jednak i kontynuował wspinaczkę. Gdy dotarł na szczyt, jego ubranie było podarte, a kolana i dłonie - umazane od krwi. To nie miało teraz znaczenia. Chłopak wszedł do gniazda. Dokładnie na jego środku, otoczona delikatną poświatą, leżała błękitna perła.

Jou'sha czym prędzej pochwycił artefakt - był cięższy niż się spodziewał. Wykonał swą misję. Teraz musiał jeszcze pomóc Williamowi, co mogło się okazać trudniejszym zadaniem. Gdy jednak spojrzał w kierunku walczących, okazało się, że się mylił. Wyglądało na to, że jego kompan, doskonale radzi sobie z bestią. Ta natomiast, mimo swych rozmiarów zdawała się cofać przed swym rywalem, wydając przy tym coraz to

rozpaczliwsze jęki. Młodzieniec jeszcze raz rozejrzał się po gnieździe. Po zabraniu z niego perły było całkowicie puste. "Dlaczego węzoptak nie używa swoich skrzydeł?" - znów usłyszał w głowie to pytanie. - "miałby wówczas przewagę! Nie, moment MIAŁABY przewagę. William mówił przecież, że to ona..." Nagle do niego dotarło. W jednej chwili zrozumiał czym była tajemnicza perła.

Tymczasem walka dobiegła końca.

- Tak jest! - wrzasnął triumfalnie rycerz, gdy węzoptak, z krzykiem zsunął się w końcu w znajdującą się pod nimi rozpadlinę. - Gryź piach bestio! Tak jak zawsze!

William wziął kilka głębokich wdechów. Nie było to może wielkie wyzwanie dla jego umiejętności, lecz przynajmniej przyniosło mu trochę frajdy. Cóż, pora w końcu zabrać to po co naprawdę tutaj przybył. Powoli, aby nie przewrócić się na mokrym podłożu, ruszył w stronę grzędy. Dobrze się składało - jego kompan już na niego czekał. Zmęczony wojownik nie mógł tylko nigdzie dostrzec błękitnej poświaty - chłopak włożył ją pewnie do swego plecaka. "Mądry dzieciak".

- Nie martw się, bestia przeżyła. - rzekł do towarzysza, gdy znalazł się dostatecznie blisko - możesz ją wykończyć, jeśli chcesz. Swoją drogą dobrze się spisałeś. Choć, daj mi tylko tą perłę i zabierajmy się stąd.

Jou'sha jednak nie poruszył się jednak.

- Dlaczego błękitna perła jest taka cenna? - zapytał zamiast tego
- Mówiłem ci przecież, że jest dużo warta.
- Ale nie wyjawiałeś, dlaczego. To nie jest jakaś tam perła - to jajo. Dlatego kolekcjonerzy tak bardzo jej pożądamy.

Rycerz wzruszył ramionami.

- Co za różnica? To jajo należące do potwora! Wszystko jedno jak się nazywa. Daj mi je.
- Przybywaliście tu co roku, by odebrać samicy jej jedyne dziecko, a ją samą zostawialiście przy życiu... Przybyłem tu, aby zgładzić potwora. Pomóc ludziom, których nęka. Zrobić coś dobrego. Powiedz mi - poprosił łamiącym się głosem - ilu ludzi skrzywdziła?
- To nie ma nic do rzeczy! To potwór i zasługuje na śmierć! Ostatnia szansa dzieciaku - powiedział wyciągając rękę - DAJ MI TĘ PERŁĘ.

Lał deszcz. Wiał wiatr. Gdzieś w oddali uderzył grzmot. Dla stojących w deszczu wojowników panowała jednak cisza. Trwała przez kilka ciężkich sekund. W Końcu została przerwana przez trzy słowa:

- Ja... Nie mogę.

Cisza jaka zapadła potem była jeszcze straszniejsza. William zrobił kilka kroków w stronę towarzysza.

- Obiecałem, że przyniosę ojcu te perłę. Obiecałem, rozumiesz? I NIE PRZESZKODZI MI W TYM ŻADEN, CHOLERNY DZIECIAK! - rycerz dobył miecza, po czym, z krzykiem ruszył na młodzieńca.

Ten jednak nie zamierzał stać bezczynnie: zwinnie odskoczył przed ciosem i pochwycił swą przygotowaną wcześniej włócznię.

- Ty zdrajco...! - syknął mężczyzna.

Przez chwilę wojownicy mierzyli się spojrzeniami. Uderzył grzmot. Rycerz zrobił krok do przodu i ponowił atak. Młodzianowi udało się go parować większość ciosów, jednak jego ramiona boleśnie odczuwały ich siłę. Jou'sha zdał sobie sprawę, że nie ma szans na pokonanie przeciwnika. Yklwa nie sprawdzała się dobrze podczas walki z mieczem, z resztą nawet i bez tego było oczywiste, że William był znacznie lepiej wyszkolony od niego. Jedynym co sprawiało, że chłopak jeszcze żył, była jego zdolność widzenia w ciemnościach. Większość ataków jego oponenta polegała na ślepym machaniu mieczem. Przypominał sobie swój pierwszy, zwycięski pojedynek i wpadł na pewien pomysł.

Gdy William natarł na niego po raz kolejny, był już przygotowany. Z trudem uniknął dwóch pierwszych ciosów i sparował trzeci. Teraz pchnięcie w pierś! Chłopak w ostatniej chwili wykręcił swój tułów, a gdy za sprawą chybionego ciosu, wrogie ostrze znalazło się kilka centymetrów jego ciała chwycił za jego rękojeść.

Nie udało mu się jednak zaskoczyć wroga. Walczący mieczem wojownik ma do dyspozycji wolną rękę. William zacisnął pięść, po czym z wściekłością uderzył chłopaka w twarz. Impet uderzenia był tak duży, że młodzieniec poślizgnął się na kamieniach i poleciał w dół. Broń wypadła mu z ręki i z brzdękiem potoczyła się gdzieś dalej. To koniec. PRZEGRAŁ. Próbował jeszcze podnieść się resztką sił, lecz przygniótł go ciężki but swego byłego kompana.

- Jesteś głupcem Jou'sha! Potwory nie są jak ludzie: nie mają serca! Nie mają "uczuć"! Jedynie chcą żebyś tak myślał. Wykorzystają każdą okazję, by wyrządzić jak najwięcej szkód! Zupełnie jak ta mała diablica, która przedostała się do miasta parę tygodni temu.

Jou'sha otworzył szeroko oczy

- C-coś ty powiedział? - wydyszał z trudem
- To co słyszysz. Myślała, że jest taka cwana przebierając się za jednego z nas - prychnął mężczyzna z pogardą - Gdyby chociaż umiała lepiej walczyć, uznałbym przynajmniej zabicie jej za zabawne.

W jednej chwili cała krew odpłynęła chłopakowi z twarzy. Nie. To nie mogła być prawda. Mówiła... Przecież obiecała mu, że będzie bezpieczna!

- A najgorsze, że wieśniacy próbowali jej bronić! Dali się nabrać zupełnie tak jak ty! Cóż miejmy nadzieję, że ostatnia egzekucja dała im nauczkę. Przykro mi dzieciaku. To już koniec.

- Nie... NIE! - głos młodzieńca zaczął brzmieć nienaturalnie. Jego prawa ręka zaczęła dymić. - TY! TY... POTWORZE! - z jego piersi dobył się krwiożerczy ryk.

Przerażony William próbował odskoczyć, jednak na próżno. W dłoni Jou'sha pojawiła się najprawdziwsza kula ognia, którą z impetem cisnął w oprawcę. Pocisk trafił prosto w jego twarz. Rycerz wrzasnął z bólu, po czym wypuścił miecz z ręki. Odruchowo zaczął się cofać, aż zrobił o krok za dużo. Dalej krzycząc, William Retley spadł w dół rozpadliny, niczym płonąca pochodnia.

Padał deszcz. Wiał wiatr. Ciekły lzy. Gdzieś w oddali uderzył piorun. Jednak niedługo potem nadszedł świt.

Był ranek. Słońce właśnie zaczęło oświetlać zielone zbocze.

- Powstań mój uczniu. - rzekł Miri'eon. - jego głos brzmiał spokojnie, lecz można było wyczuć, że każde słowo sprawia mu ból. Minął tydzień, odkąd chłopak przyniósł mu zwęgloną głowę Retleya. Nie mogli dłużej tego odwlekać. - Już czas byś podał mi swe imię. Kim więc jesteś?

Chłopak podniósł głowę ku ziemi, wziął głęboki wdech, po czym odpowiedział:

- Nazywam się Joshua. I zamierzam chronić tych, którzy nie potrafią ochronić się sami.

- Xerion

- Merion
- Mirieon